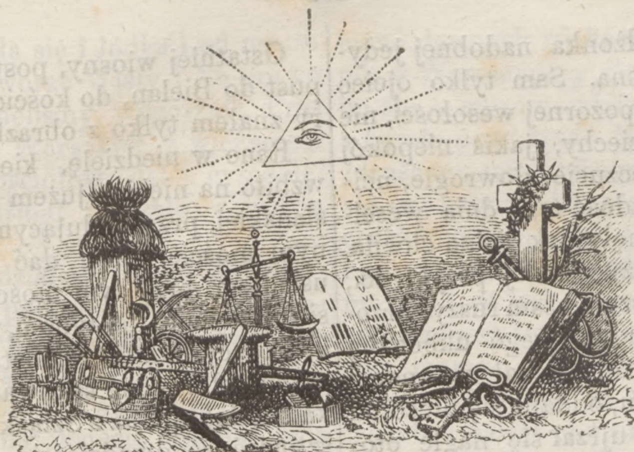
№ 26.
WARSZAWA
29 Czerwca
1862.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr 1527.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“
(Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

TREŚĆ: *Obrazki historyczne: Straszliwa Zemsta.— O świątecznej podróży na łodzi.— Krakowiak o Warszawie, poezya.— Różności: Szkoła Niedzielna i Czytelnia w Alexandrowie; Examin w szkółce w Gołębiu; Ochrony w Krakowie; Budynek dobroczynny w Mokotowie; Szkoły w Chełmskiem; Ogrodownictwo dla wieśniaków polskich; Świat i Ziemia; Włościanie w Janowszczyźnie; Szkoła Rzemieślnicza w Kaliszu; Zapis ś. p. Klembowskiego; Wystawa w Kijowie.*

Obrazki historyczne.

IV.

STRASZLIWA ZEMSTA.

I.

Mroźna pogoda jaśniała po nad ziemią, przemieniając w tysiące jakby dyamentów płatki śniegowe zalegające pola i jary. Po bezlistnych drzewach Niepołomickiej puszczy, lekki poświst północnego wiatru głosił niby tajemniczą jakąś muzykę, pomięszaną z odgłosem rogów myśliwskich i szczekaniem rozpuszczonych ogarów. W samym środku lasu przy rozpaloném ognisku, zebrała się myśliwska drużyna. W czasie krótkiej chwili wypoczynku zabawiała się rozmową, któréj zbyteczną wesołość powstrzymywała obecność Władysława księcia Krakowskiego, który usunąwszy się nieco od gwarnej gromady wraz z drugim mężem kosztownie przybranym, zasiadł na przygotowaném dla siebie miejscu. Towarzysz jego był to możny Piotr Właszcz ze Skrzynna, zwany także Duninem, założyciel 77 kościołów w Polsce, o którym dziś nie jedno wspomina podanie. Dwaj ci panowie zabawiali się rozmową, lecz gdy w końcu Władysław przerwał nagle, a potém zaczął ubliżająco mówić o żonie Dunina, tenże w pół żartem odrzekł: „Jeżelić sama małżonka waszej książęcej mości nie jest wolną od zarzutu, jakoż można więcej wymagać od pospolitej niewiasty?“ Na te słowa wzdrygnął się Władysław, lecz ukrywszy gniew w sobie, zwrócił mowę na inny przedmiot i wkrótce potém złączywszy się ze swym orszakiem, prowadził dalej rozpoczęte łowy.

II.

W murach starożytnego Wrocławia, w domu pana ze Skrzynna odgłos hucznej uczty rozlega się w około, stoły uginają się od sreber, twarze licznych gości promienieją radością, niewiasty i panny otaczają dziewicę z anielskiem obliczem, która w stroju oblubienicy i w wianku na czole, przesuwa się pomiędzy gośćmi. Rodzice z dumą i miłością spoglądają za każdym jej ruchem; niemniej miłości i dumy okazuje twarz pana Jaksy herbu Gryf

nowo zaślubionego małżonka nadobnej jedynaczki Piotra ze Skrzynna. Sam tylko ojciec panny młodej, pomimo pozornej wesołości, nie dzielił powszechnej uciechy, jakiś niepokój wewnętrzny, niby przeczucie złowrogie, uciskał mu serce i truł radość tego dnia weselnego. Trzy dni upłynęły jak jedna chwila, a i Piotr nie doznawszy żadnej przykrości, rozjaśnił zachmurzone czoło i sam ruszył przodem na czele orszaku, odwożącego ukochaną córkę do domu męża. Gdy jechał po znanej sobie drodze wśród lasu, oddalił się nieco od swoich ludzi i wówczas ujrzał się nagle otoczonym przez kilku zbrojnych jezdzców, i nim zdołał wezwać pomocy, był już w ich rękach. Skrępowano mu ręce i nogi, zawiązano oczy i wrzuciwszy na wóz, puszczono się w długą drogę. W parę dni potém, w głębi ciemnego i wilgotnego więzienia możny pan ze Skrzynna oczekiwał dalszego losu. Nagle zaskrzypnęły ciężkie drzwi lochu, a przy czerwoném świetle łuczywa jakiś rycerz stanął przed więźniem. „Czy poznajesz mnie?“ zapytał groźnie. Piotr podniósł oczy. „Ja to jestem mówił nieznajomy, któregoś posądził o nieprawe stosunki z dostojną małżonką księcia, ja to schwytałem cię w lesie, a teraz w jej imieniu przynoszę ci wyrok sprawiedliwej zemsty, a ten jest, ażeby język który odważył się wymówić tak potwarcze wyrazy na wieki został pozbawiony użytku, a oczy twoje światła dziennego.“ Wyrok ten potwierdzony przez samego księcia Władysława, wkrótce dosłownie został wykonany. Wydarto język i oczy pobożnemu fundatorowi siedemdziesięciu siedmiu kościołów. Krew męczennika darmo nie ginie, spadła też krew Piotra Dunina na głowę złośliwego tyrana, który sam wkrótce potém został pozbawiony władzy i ojczyzny, wraz z wspólniczką swej zbrodni. W obcej ziemi dokonał dni skażonych, bez tej pociechy, którą w każdem nieszczęściu niesie człowiekowi spokojność sumienia.

O świątecznej podróży na łodzi.

Kiedy nastaje wiosna, to i przychodzi czas pielgrzymek do miejsc świętych i narodowych pamiątek.

Ostatniej wiosny, postanowiłem iść na odpust do Bielan, do kościoła Kamedułów, który znałem tylko z obrazka.

Rano w niedzielę, kiedy słonko się sporo wzbiło na niebie, jużem był na drodze powiślańskiej, przy budującym się nowym kamiennym moście. Aby dać odpoczynek nogom, usiadłem przy tym moście i przypatrywałem się maszynom, faszynom, wielkiej nauce i wielkiej pracy ludzkiej. Most będzie trwały. Kamienie olbrzymie sprowadzają do niego o kilkadziesiąt mil, aż z Szląska. Cały most ma kosztować ze dwadzieścia miljonów, za które możnaby kupić sto ładnych wiosek mazowieckich. Ale nie żal takiego grosza, bo ile to się przez ten most pozbawi kłopotów przy przewozach zboża albo drzewa do Warszawy; ile ujmie się obrazy Boskiej, tych przekleństw i złorzeczeń, kiedy po pół dnia docisnąć się ludzie z wozami nie mogli na teraźniejszy most łyżwowy, a w czasie powodzi musieli i po tygodniu czekać na opadnięcie wody, i ile też ludzi ocali się od śmierci, co dotąd między krą ginęli na łodziach? Taki most, to będzie pożytek dla ludzi, to chwała dla Pana Boga.

Kiedym się nad tém wszystkiem zamyślił, usłyszałem wołanie z Wisły:

— A o czém się tak zamyśliliście, wieśniaku?

Spojrzałem w tę stronę zkąd głos wychodził, i zobaczyłem na łodzi śmiejącego się do mnie znajomego oddawna mularza, i jego szwagra cieślę i brata drukarza i przyjaciela ich ławnika. Kobiet było z nimi kilka i dwóch chłopaków, oprócz wioślarzy. Podszedłem do łodzi z radością, że tych znajomych ludzi a poczciwych zobaczyłem w kupie, a jakeśmy się przywitali cieśla przemówił:

— Jedźcie z nami, a użyjemy niedzieli.

— Bóg wam zapłać, powiedziałem, bo idę do Bielan, a nie byłem tam jeszcze.

— To też my do Bielan płyniemy, po nabożeństwie puścimy się jeszcze do Jabłonny, a wieczorem znowu tu staniemy. Jak zechcecie zostaniecie u nas na noclegu, a jak się wam nie spodoba, to pójdziecie zaraz do domu.

— Dobra rada, odrzekłem, to mi i milej będzie płynąć razem.

Wsiadłem na łódkę. Wszystko było gotowe do podróży. Starszy wioślarz co był za sternika, skinął na swoich. Wiosła się ruszy-

ły w ich ręku, ruszyła się i łódka i od mostu wypłynęła na przestworze Wisły. Na prawo z biegiem wody ominęliśmy wygorzałą Pragę, na lewo świetną Warszawę z wieżycami pałaców, zamku i kościołów, dalej cytadelę, z której dziesiątki armat patrzało z groźbą na około.

Tu jeszcze nie wiedziałem czemu się przypatrywać. Praga mi przypominała srogie boje w dawnych czasach, hetmana Czarneckiego, co odważnie wpław Wisłę przejechał, żeby wykurzyć Szwedów z Warszawy; przypominała mi Napoleona, księcia Józefa, tyla sławy, tyla nieszczęść! Warszawa serce mi poruszała. Bo choć to młodsza siostra wielu starych miast polskich, ale przez swoje sławne dzieje, przez sejmy, przez rycerskie czyny, przez bóle i cierpienia, omatczała w młodości swojej, a starsze miasta niezazdroszczą jej takiej powagi, cierpią razem z jej cierpieniem i uśmiechają się gdy się ona uśmiechnie.

Gdyśmy wypłynęli za cytadelę, mieliśmy przed oczami tylko wodę i drzewa po brzegach. Jak to w maju, drzewa zielone były wszystkie, ptaki nad niemi krążyły i przelatywały. Bóg zapłać ludziom co tych drzew nie powycinali, co tu jeszcze nieopaskudzili cudnej naszej ziemi nagą golizną! Wody ludzie wypić nie mogli, bo Wisła jest zdrojem Boskim niewysychającym, jest światem dla miljonów stworzeń i roślin wodnych, jest drogą szeroką, wspaniałą a jasną przez całą Polskę od południa ku północy, od gór Karpackich, aż po morze Baltyckie!

Spojrzyjcie moi ludzie co to za droga ta, jaka to ulica na tej ziemi, w tém mieście Bożem? ile w niej ruchu, życia, swobody, pracy i nadziei? My od Warszawy szybko posuwamy się do świątyni Bielańskiej, za nami inne łodzie dążą z ludźmi, dla chwały Bożej. A jak oko dojrzy obok nas, przed nami i za nami, ruszają się ciężkie tratwy ze zbożem sandomierskiem i lubelskiem do Gdańska. Od Torunia znowu ku Warszawie płyną statki kupieckie z zagranicznemi rzeczami, jakich ludzie nasi nie wyrabiają. Żagle na wietrze rozpięte jak wielkie skrzydła ptasie, pomagają wioślarzom w ich ręcznej pracy, co wiosłami jak płetwami wodę przegartują.

Płynęliśmy, podziwiając Boskie dzieło stworzenia. Serca poruszały się nam wspomnieniami dawnych wieków i otaczającemi rzeczami, a Warszawiacy cieszyli się jak dzieci, że im się z murów udało wymknąć na czyste a świeże powietrze. My wieśniacy nieraz zazdrościmy mieszczanom ich pokoi i kamienic, ale oni nam zazdroszczą naszej swobody, życia rolniczego, i tego powietrza świeżego, którego za żadne pieniądze w mieście mieć nie mogą. I co jest lepsze? pewno nasze życie rolnicze jest lepsze, bo przy świeżości powietrza, mamy i świeższe zdrowie, a mieszczanie muszą pracować w zamkniętych, dusznych izbach, i nawet ci z nich co mają większe dostatki, chérlawe zdrowie noszą. A czy jest droższy skarb nad zdrowie?..

Pociecha jeszcze większa wszystkich ogarnęła, gdy mularzowa zawołała:

— Bielany! widać Bielany!

Spojrzeliśmy na głos mularzowej ku stronie Bielan i zobaczyliśmy wśrod lasu dwie wieże kościelne, jak dwoje rąk wyciągniętych ku niebu, żebrzących ztamtąd u Boga litości i pomocy.

Niebawem czółno kierowane przez sternika zwróciło się ku brzegowi Wisły i przybiło do lądu. Wysiadaliśmy. Poczułem wtedy anioła, który był stróżem miejsca świętego. Ujrzałem uroczyste widzenie tysiąca świątobliwych dusz, przechadzających się po leśnej ustroni. Usłyszałem wiekowe granie kamedulskich dzwonów, na Msze święte i na Anioł Pański. I schyliłem czoło i nie czując ciała swego, postępowałem dalej, na wzgórze i po wzgórzu.

Co za las? jaka pustelnia?...

Przez trzy bramy i kraty musieliśmy przechodzić, nim stanęliśmy u przysionka kościoła. W przysionku jeszcze kraty. Posadzka żałobna z czarnego i białego marmuru. Chóru nie ma i organów nie ma. Biała wielka statua Matki Zbawiciela stroi wielki ołtarz. Do białych ścian kościelnych, przysunięte są ołtarze z bocznemi drzwiami. Za drzwiami trumny i nagrobki.

W życiu widok śmierci, potrzebny dla nas, abyśmy się nie zakochali w marności.

Kameduła wyszedł ze mszą, drugi mu służył, inni odbywali też służbę po kościele. Byli w białych habitach i płaszczach, w drewnianych trepkach. Kiedy szli, łoskot się głuchy rozlegał po kościele i budził dusze modlące się do rozmyślania o próżni dzieł światowych.

Liczne relikwie świętych wyznawców i męczenników obsadzone w ołtarzach, patrzały na lud i przemawiały, że dla prawdy świętej należy oddać krew i ciało, tylko duszy bronić i w mękach ją ocalić dla chóru Boskiego.

Po nabożeństwie, prócz kobiet bo ich nie wpuszczono, poszliśmy do osady pustelników. Bo ich pustelnie, to osada. Każdy Kameduła ma osobny domek z zakratowanemi oknami, otoczony murem, ma ogródek i wielki wspólny ogród, który własną ręką kopią, sadzą i zbierają. Cisza między nimi, modlitwa i praca, ubóstwo i wyparcie się światowych uciech. Poprzestać na tém i wytrwać, i budować ludzi przykładem, o moi drodzy, co to za zasługa i co za siła! Na Bielanach takich pustelników jest kilkunastu, a Sty Romuald w Egipcie nazbierał podobnych osadników kilka tysięcy, co uprawiali ziemię jak rolnicy, służyli ludowi pomocą w potrzebach i nauczali wiary. Żebyśmy się to trzymali myśli Śgo Romualda i wszyscy w Polsce rolnicy, starali się być osadnikami Bożymi!

Każda rodzina zajęta pracą, modlitwą, szczęściem braci naszych bliźnich. Każdy ma u nas w swojej potrzebie chleb i słowo uczciwe. W każdej osadzie cisza, a jeśli jest wesele, to jak owych ptaków bielańskich pełne śpiewu radośnego lub tkliwego, ale upojonego jedynie swobodą lotu i chwałą Boską!

Mularz powiedział nam, że Kamedułów sprowadził do Polski już z górą dwa wieki temu król Władysław IV po szczęśliwej wojnie. Król Jan Kazimierz przyłożył się do budowania kościoła i wyprowadzenia murów, wystawił sobie domek pustelniczy, a za nim i możni panowie stawili tu sobie domki. Lubił tu przebywać i król Michał i inni królowie. A potém powiedział mularz:

— Chodźcie do grobu Staszyca, pewno słyszeliście o Stanisławie Staszycu?

— A któż nie zna Staszyca, rzekłem, chyba niepiśmienny człowiek i to w dalszych stronach, a tu nie znać Staszyca, to grzech byłby każdemu.

Stanęliśmy u grobu w milczeniu. Odkryliśmy głowy. Grób przykryty białą kamienną tablicą. Tylko tablicą nakryty grób wielkiego miljonowego pana, co wyrósł z biednego mieszczucha. To to mi pan, co panował nad sobą. Stare wytarte odzienie przykrywało go za życia. Talerz strawy prostej, to jego pański był obiad. Ale za to miał wielkie pieniądze i dobra. Ale za to rozdarował chłopom wielki majątek Hrubieszowski i pozakładał w nim szkoły. Miljon rozdał na szpitale, na oświatę, i dla sług swoich, a dla pustelni Bielańskiej dał 10 tysięcy. Dla uczonego towarzystwa darował w Warszawie wspaniały gmach, i starał się aby naukami ludzie piśmienni a zdolni służyli ojczyźnie, o własny język dbali, a oświecali ciemniejszych. Został potém w tym towarzystwie pierwszym, został i wysokim urzędnikiem. Sam nie cackał się z chłopami, ale ich bronił na sejmie i wszędzie. Umarł ten człek boski roku pańskiego 1826.

O szlachetne postacie takich panów, jakże mnie zawstydzacie! Ja ubogi wieśniak myślę o nowej sukmanie, o wygodach życia, a tacy jak Staszyc, jak Joachim Lelewel, jak hrabia Brzostowski myśleli nie o sobie, tylko o biedniejszych. Mędrzec Lelewel w nędzy żył, jak miał dwa pieniądze, jeden oddawał sierotom, starcom lub kalekom, i z swojej cząstki jeszcze zostawił dla ubogich skarby naukowe. Brzostowski za przykładem Staszyca, przed kilku latami zapisał testamentem dobra Sztabińskie dla kmieci. I jeszczeby się tacy znaleźli, cobym ich zapisał w sercach braci moich, gdyby poszukać ich po szerokiej ziemi Polskiej. Leżcie spokojnie w ziemi prochy wielkich mędrców naszych. Niech was nie poruszają teraźniejsze nieporozumienia. Wy dajecie przykład poświęcenia dla panów żyjących, my wieśniacy uczcimy wasze imiona z pokolenia w pokolenie. Prawda weźmie górę i zrozumieją ją bracia moi, jeżeli nie dzisiaj to jutro. Tylko bądźcie panowie w części Staszycami, Lelewelami i Brzostowskimi. Więcej się od was nie żąda, tylko części poświęcenia trzech zmarłych wielkich ludzi, tego mieszczucha, tego szlachcica i tego magnata. Ale części się żąda, bez odkładania, bez wymówek. Bóg potępi tych co odkładają los kraju, czy to panów, czy wieśniaków. Bodajby jedni i drudzy nie zawinili. O podajcież sobie ręce ludzie jednej ziemi, miłujcie się! Miłujcie się, a wszystko zrobionem będzie w okamgnieniu. Jedni i drudzy ziemi z sobą na tamten świat nie zabierzecie. Ciemniśmy i głupi jedni i drudzy, a wszyscy na tém cierpimy. O duchu Śgo Romualdego, bodajbyś zeszedł do naszych

dworów i chałup, a przejął upartych myślą jedności, zgody, pracy i ubóstwa!..

Mularz zaprowadził nas dalej do lasu, pokazał huśtawki i karuzele dla dzieci z Warszawy przybywających tu rok rocznie z rodzicami na majówki, i na odpust Zielonych Świątek. Bywa wtedy ludu po kilkadziesiąt tysięcy. Opowiadał później mularz kilka historyi o pojedynkach w lesie bielańskim i pokazywał miejsca, gdzie zawzięci bracia wydzierali sobie życie dla obłędów światowych. Opuszczam te historye, bo jak mnie i każdemu wydałyby się pustemi.

Wróciliśmy do łodzi i puściliśmy się dalej po Wiśle, po drodze Bożej ku Jabłonnie. Znowu ujrzeliśmy krakowskich orylów w białych sukmanach, spławiających zboże do Gdańska i zobaczyliśmy berlinki kupieckie od Torunia płynące. Ukazał się też nam buchający kłębami dymu parochód czcigodnego gospodarza Andrzeja Zamojskiego, co się wydawał między statkami innemi, jak wieloryb morski przy rybach wiślanych. Na wodzie dym, żagle, statki z ludźmi, wysepki drzewem porosłe, a na brzegach wioski: Młociny, Tarchomin z laskami i ogrodami, naprzemian pokazywały się naszym oczom. Pogoda ładna była, była szczerość i wesołość na naszym czołnie, choć westchnieniem nieraz się przerywała, ale jakżeby u nas teraz było bez westchnień!..

Cieśla zaczął śpiew żywy, inni wtórowali mu z całej duszy. Ryby słuchały śpiewu i ptaki jabłonowskie pozlatywały na brzeg wiślany, aby usłyszéć nutę chóru polskiego. A piękna była nuta, podsłuchana w tych aniołów, co za dawnych czasów nawiedzali dom Piasta kołodzieja w Kruszwicy.

Z pieśnią wstąpiliśmy do ogrodu i dopierośmy przed pałacem ucichli. W tym pałacu Jabłonowskim nikt teraz nie mieszka, ale są tam pamiątki po rycerzu polskim, księciu Józefie Poniatowskim, co z pół wieku temu jak utonął w rzecze Elsterze, w Saksonii.

Cieśla że był przewodnikiem naszej kompanii, to też rozporządzał czasem i zadysponował, żeby naprzód pałac zwiedzić, a potém iść na posiłek. Nim jednak poszliśmy do pałacu, drukarz odszukał jednego z tamtejszych poczciwych pocztarków, a bywałego i oczytanego w księgach człeka, który podjął się oprowadzać nas po pałacu i opowiadać o wszystkiem w Jabłonnie.

Opatrywaliśmy pokoje wielkie a ładne. Jeden wysoki z galeryą bardzo mi się podobał z tém ślicznie wymalowanem w kopule niebem, co tak się wydaje, jakby człek prawdziwe niebo oglądał. I też mi się podobał drugi wspaniały salon z malowaniami arabskiemi, co z samych kresek, kółek i gzygzaków kolorowych poskładały się umiejętnie w nad dziw piękne połączenia. Ale i inne pokoje ładne są z filarami rzeźbionemi i bez filarów, z greckiemi posągami starożytnemi, co je dla piękności z zagranicy kazał posprowadzać książe Józef. Dobrze że wszystko zostało jak było za księcia Józefa, że nawet książek, szaf, ani łóżka z miejsca nie ruszono. Dobrze że przy tych pięknościach starożytnych pozostawiono posągi i obrazy chrześcijańskie i polskie. Bo jak to miło spojrzeć na tę figurę Najświętszej Panienki pod drzewem stojącą, ze spuszczonemi na dół oczami i na owo dzieciątko w kołysce! Wszystko to serce zachwyca i duszę porywa, jak ten jeszcze obraz w pałacowej kapliczce w ołtarzyku i ten portret księcia w rycerskiej pastaci, co na koniu dzielnie sadzi.

Są tam jeszcze różne malowania i obrazy i portrety króla ostatniego, upudrowanego Stanisława Augusta. Smutne to były czasy przed siedemdziesiąt laty, kiedy tak strojono głowy z cudzoziemska.

— To taki sobie książe Józef wystawił pałac, przemówił pocztarek. Dawniej kiedym marzył w dzieciństwie, tom też myślał o podobnem urządzeniu. Gdybym był bogaty myślałem sobie wtedy, tobym skupował od najpierwszych malarzy obrazy świętych i patronów naszych. Miałbym malowidła wszystkich królów i rycerzy i mędrców polskich, i miałbym malowidła z ubiorami ze wszystkich ziem polskich po jednej parze ludzi. Takie też miałbym posągi. Dom może wystawiłbym na podobieństwo dawnych chałup polskich, tylko że wielki i murowany, nawet piętrowy. Drzewoby stało dla bociana przy domu, a na podwórzu studnia cembrowana. Ludzibym kazał wszystkich bez wyjątku puszczać i opowiadać stare dzieje chrześcijańskie i polskie z tych

obrazów i posągów. Uczyliby się wiary i obywatelstwa. A jeszcze zakupiłbym całe szafy książek dla pożytku ludzkiego, żeby każdy miał co czytać. Widać że jednakowa myśl siedzi w mózgu każdego rzetelnego człowieka, czy to wieśniaka, czy takiego wspaniałego wodza jak książe Józef. Bo patrzajcie ludzie kochani, że póki książe Józef był wojskowo bezczynny, z górą dziesiątek lat, za czasów pruskich, budował sobie taki pałac, urządził wspaniały ogród, jakby las najśliczniejszy. Nie żałował na to trudu i kosztu, chociaż wszystko stawiał na piaskach, chociaż ziemię nawet pod drzewa zwoził z kądinąd, a mierzwę z Warszawy wodą sprowadzał. Ale nie o sobie tylko myślał piękny książe, oj nie! Myślał jeszcze i o wieśniakach. Całą wieś wymurował z cegły: bo chałupy, obory, stajnie i stodoły. Chłopi mieszkali w piętrowych domach!.. Myślał książe o uprzyjemnieniu sobie życia, ale i o uprzyjemnieniu go wieśniakom!.. Potém kiedy go hasło wojenne powołało do opuszczenia roli i swego ustronia, a ujęcia do rąk miecza w obronie kraju i przywodzenia wojsku, wtedy książe nie miał już czasu zajmowania się pałacem i wieśniakami jabłonowskiemi, bo musiał mieszkać w Warszawie, albo w obozie, nieraz łazić po błocie i sypiać na kamieniach, musiał się bić i zwyciężać. Kroił kurtę Austryakom po kilka razy, w roku 1809 odebrał im Krakowskie, Radomskie, Sandomierskie i Lubelskie; chociaż mu się to nie wydawało, ale szedł w zimie z Napoleonem na Moskwę, bił się w Niemczech pod Dreznem, aż do bitwy pod Lipskiem w r. 1813, gdzie przez zdradę Sasów, wolał ginąć w bystrej wodzie, lecz zachować honor Polaków i oddać go w ręce Boga. Została w ojczyźnie po tym wodzu Polskim pamięć bohaterskich czynów i sława, która rozeszła się po świecie, a osobliwie we Francyi, bo cesarz Napoleon zrobił go marszałkiem francuzkim. Została nam sława, a zginęła żywa chluba i nadzieja rycerstwa polskiego.

Pocztarek na tém skończył, zamyślił się człek poczciwy, potém uścisnął nasze ręce i pożegnał nas:

— Bądźcie państwo zdrowi, powiedział, byłbym z wami dłużej, ale trzeba mi trąbkę przez plecy zawiesić i jechać niezadługo, w drodze sobie zagram marsza o księciu Józefie.

Pożegnaliśmy się z pocztarkiem, a chociaż go pierwszy raz widziałem w życiu, markotno mi było, że naszą kompanją tak prędko opuścił.

Modlitwa w kościele bielańskim, pustelnia i ustronie księcia Józefa, pokrzepiły nasze dusze. Czuliśmy się lepszymi. Chléb i nabiał posilił nasze ciała. Rozrosły ogród okrywał nas cieniem, a rosnące razem na ziemi zielone ziela i trawy, zapachy do nas wionęły.

Powróciliśmy do Wisły, do swojej zielonej łodzi. Jazda z powrotem wypadała nam pod wodę. A pod wodę płynąć trudno, jak to trzeba dobywać sił ostatka, żeby dobić do mety.

Przy Tarchominie doznaliśmy przykrości. Raptowna burza się zerwała, woda zafalowała, deszcz nas moczył. Wioślarze całych sił dobywali żeby łódź popychać. Brakło pomyślnego wiatru od zachodu. Wioślarze zwinięte żagle przy maszcie trzymali. Sternik gwizdaniem potrzebny wiatr nawoływał. Zapewne wierzył czarodziejskim sztukom. Ale wiatr chociaż go i łudził jakim słabym powiewem, nigdy otwarcie nie przychodził.

Pomimo tego łódź powoli płynęła, bo wioślarze nieustawali w pracy. Dzielne ramiona ufają swojej sile, a hartowne dusze swojej wytrwałości. Takich ramion i hartownych dusz, witaliśmy nie mało żeglujących po Wiśle. Witaliśmy braci orylów z różnych stron Polski. Wszyscy różną pracą zajęci. Jedni na tratwach ogień palili, drudzy rąbali drzewo, inni dla tamtych wieczerzę gotowali, ci wylewali wodę nasiąkłą, inni znowu naprawiali statki. A ten znowu tęgi oryl siedzący z żoną i z dzieckiem na statku, wygrywał dla braci na fujarce mazury, kujawiaki i krakowiaki. Rzewna była muzyka orylska na wodzie, to też się smętnie rozlegała po Wiśle...

Noc nastała cicha, ciemna, głucha. Gwiazdy tylko słabo przyświecały. Dobrze że i one przyświecały, boby w ciemności i na uroczystej Wiśle było martwo, jak martwo bywa i między ludźmi, co nie lubią światła nauki.

Niby gwiazdy wielkie okazały nam się pod koniec podróży nadbrzeżne latarnie warszawskie, prześlicznie i niby czarodziejsko słupami odbijające się w wodzie. To dla naszych cielesnych oczów. Duszom naszym przyświecały miljon razy większe gwiazdy: owe wspaniałe cienia Staszyca i księcia Józefa. Bodaj

ludziom ziemi naszej świeciły one na wiek wieków we dnie i w nocy...

Kiedyśmy wysiadali z łodzi, na zamku królewskim biła północna godzina. Rozstaliśmy się. Bóg zapłać wam warszawiacy i warszawianki za kompanją i za gościnność. Może też Bóg pozwoli mi sercem i chlebem wam odpłacić.

KRAKOWIAK

O WARSZAWIE.

Pod wzgórzem, pod szerokiem rzeka szparko bieży,
Na brzegu. na wysokim las się wieżyc jeży,
Las wieżyc, las kamienny czołem chmury bodzie,
A spodem się przegląda w zwierciadlanej wodzie.
I widać, oj na wzgórzu słup kamienny stoi,
Na słupie, na kamiennym król polski we zbroi...
Hej, wziął krzyż w prawą rękę, a mieczem hetmani,
A u stóp mu się fala burzliwa bałwani ..
O, ktoby cię nie poznał falo ty Wiślana!
O, ktoby cię zapomniał Warszawo kochana!

O tobie człowiek myśli. gdy się na sen zbiera,
O tobie gdy się budzi, gdy oczy przeciera,
O tobie przez noc całą, aż do kurów piania,
O tobie przy robocie, gdy wołki pogania,
O tobie prawi kuma i parobczak młody,
O tobie czy to pogrzeb, czy weselne gody,
Czy w świątek, czyli w piątek, ah, o każdej dobie
Jedna jest w ludziach gadka o tobie, o tobie...
Warszawa ludzkie miasto nie żadna macocha,
Wszystkie nas dzieci swoje ta matuchna kocha!

Pytałem dobrodzieja co chodził po kweście:
Niech mi jegomość powie o tém dziwném mieście...
Czyli tam czary jakie zádają uroki?
Czy mlekiem albo miodem płyną tam potoki?
Czyli naprawdę rośnie dąb tam śrebrno liści?
Czy strząsa złotą żołądź dla ludzkiej korzyści?
Czy może wielkoludy mieszkają ogromne?
Że kto to miasto widzi, woła: nie zapomnę!
— O prawdę powiedziałeś, jakbyś z książki czytał!
O prawda miły bracie wszystko, o coś pytał!
Łaska tam Boża czyni cudowne uroki...
I pły ną gościnności miodowe potoki!
I dąb tam miłosierdzia rośnie śrebrno liści!
I strząsa złotą żołądź dla ludzkiej korzyści!
I lud tam wielkiej duszy ma serce wspaniałe,
A kto go raz pokocha, to na życie całe!
E, co ci będę gadał rzeczy jak dzień jasne ..
Idź lepiej i sam obacz, sam na oczy własne...
A jeśli z ziębniesz w drodze, to cię tam ogrzeją,
A jeśli jesteś nagi, to cię przyodzieją,
A jeśli jesteś głodny, to ci dadzą chleba,
A jeśli jesteś dobry, przychylą ci nieba,
A jeśli jesteś głupi, rozumu nauczą,
A jeśliś niepoczciwiec, to ci tam dokuczą,
A jeśliś jest potrzebny, pełną garścią służą,
A jeśliś zły ty człowiek, to cię wnet wykurzą.
A jeśliś jest w chorobie, nie szczędzą ratunku,
A jeśli się turbujesz, pocieszą w frasunku,
A jeśliś w kłótni z ludźmi. to tam będzie zgoda,
A jeśliś stracił brata, tam ci rękę poda,
A jeśli tam sierotą bez opieki zajdziesz,
I ojca tam odszukasz, a i matkę znajdziesz...
Tak, tak, mój miły bracie nie ma tam sieroty,
Warszawa ludzkie miasto, gniazdo prawej cnoty!

Widziałem, sam poznałem to miasto szlachetne...
O niech na chwałę rośnie w późne lata setne!
O niech je błogosławi Ojciec nasz niebieski,
Prosić go o to będę do grobowej deski.
Niech w płaszcz łaski otuli, w płaszcz słoneczny, (złoty,
To miasto ukochane, gniazdo prawej cnoty.

Różności.

Donoszą nam z miasta Aleksandrowa: ,,Staraniem miejscowego proboszcza, założoną została Szkółka Niedzielna dla dzieci włościańskich, nie mogących letnią porą uczęszczać do szkoły w dnie powszednie. Tym sposobem szanowny kapłan przy pomocy miejscowego nauczyciela, zapobiega upadkowi oświaty, albowiem dziecko chodząc przez zimę do szkoły, nauczywszy się cokolwiek, wróciło do domu i oderwane od nauki i książki, po upływie lata zapominało czego się zimą nauczyło. Czém zniechęceni rodzice, na rok przyszły posyłać dzieci do szkoły nie chcieli, mówiąc, że się to na nic nie przyda. Teraz nic nie zapomną, bo niedzielna szkółka dalej kształcić ich będzie. Tenże kapłan własnym kosztem kupił książki i 1go Czerwca otworzył dla parafian Czytelnię. Odtąd w każdą Niedziele i święto, zgromadzać się będziemy i kształcić wspólnie czytaniem serca i rozumy. W dniu otwarcia, prawie wszyscy parafianie, bez różnicy stanów, zgromadzili się na to pożyteczne nauczanie.“

— We wsi Gołębiu nad Wisłą w Lubelskiem, odbył się w dniu 3 Maja r. b. publiczny examin w szkole elementarnej, w obec ks. prałata Gawlikowskiego i pp. Pągowskich i licznie zgromadzonych włościan, mających swe dzieci w szkole. Po przeegzaminowaniu uczniów przez ks. Wikarego z nauki religii, historyi świętej, a przez nauczyciela p. Jana Kamińskiego z czytania, rachunków. geografii i gospodarstwa, nastąpiło rozdawanie nagród przez panią Pągowską dzieciom, które odznaczyły się pilnością i dobrém

sprawowaniem się. Z chłopców otrzymali za nagrody rozmaite książeczki: Andrzej Bąkała, Kazimierz Szczyrbetka, Piotr Wnuk, Szczepan Wnuk, Stanisław Matras. Z dziewczynek: Franciszka Michalska. Ludwika Woszczykówna, Ewa Wardzianka, Karolina Wardzianka, Magdalena Osiakówna. Oprócz tych nagród były jeszcże rozdawane większe i mniejsze obrazki, paciorki dla dziewczyn i wstążeczki, bo też dzieci w tej szkole było dużo, a niewiele z nich źle się uczyło. Dałby Bóg, żeby i ci na rok przyszły się poprawili, żeby wszyscy zapatrywali się na tych, których tu wymieniłem.

— W Krakowie są trzy ochrony, a czwarta wkrótce otwartą będzie, a mianowicie: Śgo Kajetana na Wesołej, do której chłopców uczęszczało 48, dziewcząt 47, zakład ten objęły siostry Felicyanki; Śgo Józefa na Smoleńsku chłopców 29, dziewcząt 26; Śtej Elżbiety na Kazimierzu, chłopców 23, dziewcząt 22 i ochrona Śgo Stanisława na Kleparzu, która w 1859 roku zamknięta, ma być napowrót otwarta, pod kierunkiem Siószr miłosierdzia, tamże na Kleparzu, w nowo wybudowanym domu osiadłych. (*Gaz. Pols.*)

— W roku bieżącym ukończoną zostanie nowo wznosząca się budowla Instytutu moralnie zaniedbanych dzieci w Mokotowie, obok istniejącego tamże kościoła. (*Gaz. Pols.)*

— Donoszą z Chełma Lubelskiego: Wprowadzenie w czyn i życie oświaty ludowej w tutejszym okręgu, winniśmy p. B. z Nadrybia, który wpływem swoim działał na sąsiadów, aby szkółki wiejskie pozakładali, a sam dawszy z siebie przykład, oddał dom na szkółkę, sprowadził nauczyciela, dał stół i mieszkanie księdzu z klasztoru OO. Reformatów z Chełma, który wykłada słowo Boże. Do szkółki w Nadrybiu uczęszcza stale 70 dzieci. W dobrach Zdżanne, właściciel p. S. oprócz zwyczajnej, elementarnej szkółki, założył od lat dwóch dla włościan szkołę gospodarstwa. W dobrach Puchaczew, p. J. od roku założył szkółkę, do której 40 dzieci uczęszcza, nauczyciela sam opłaca. W dobrach Husynne także od lat dwóch egzystuje szkółka elementarna pod opieką właścicielki pani G. W dobrach Dorohusk córki hrabiego S. same przyjęły udział w wykładaniu nauk dla wiejskiego ludu. W dobrach Żmudź i Klentów, właściciel p. K. F. sam przez całą zimę codziennnie kilka godzin uczył dziatwę czytać i pisać. W mieście Chełmie w dwóch szkółkach elementarnych księża Pijarzy w dni niedzielne po południu licznie zbierającym się mieszkańcom, czytują pisma ludowe. (*G. P.*)

— Nakładem księgarza Nowoleckiego w Warszawie, wyszło dziełko: „O ogrodownictwie dla użytku wieśniaków Polskich,“ napisane przez Stelmasiewicza. Książeczka ta, objaśniająca w sposób bardzo prosty i przystępny, główne prace ogrodnicze, bardzo być może pożyteczną dla włościan, oraz dla licznych u nas ogrodników, trzymanych po dworach i folwarkach. (*Gaz. Warsz.)*

— Biblioteki ludowej J. I. Kraszewskiego, wyszła książeczka pierwsza pod tytułem: „Świat i Ziemia“ (z drzeworytem w tekscie). Cena książeczki 20 gr. Skład główny u autora i w redakcyi Gazety Polskiej.

— Piszą z gubernii Wileńskiej ze Zdzięcioła do Gazety Polskiej: Włościanie majątku Janowszczyzny p. Stefana N. w tej chwili przyszli do mnie z prośbą, abym kupił dla ich dzieci książek do czytania i na ten przedmiot przynieśli mi 40 złotych. Przytém mi mówili, że choć nie mają szkoły u siebie, przyjęli jednak nauczyciela, który chodzi od chaty do chaty i dzieci ich uczy, a oni go za to karmią i składają się na zapłatę. To najlepszy dowód, jak litewscy włościanie pojmują potrzebę światła.

— W mieście Kaliszu otwartą została szkoła rzemieślniczo-wieczorna, i codziennie odbywają się lekcye od 7ej do 9ej wieczorem. Życzyćby należało. ażeby we wszystkich miastach, szkoły podobne otwarte zostały. Wiele jest u nas miast fabrycznych jak np. Opatówek, w których dla braku szkół wieczornych, całe młode pokolenie pracujące w fabryce, rośnie bez znajomości czytania i pisania, pogrążone w ciemnocie, bez nadziei pożytku dla społeczeństwa. Zwracamy uwagę na tę młodzież ludzi dobrej woli, a miłujących społeczne dobro i zachęcamy do naśladowania tych miast, w których już pomyślano o edukacyi rzemieślniczej i fabrycznej młodzieży.

— Ś. p. Ignacy Klembowski b. sędzia powiatu Zasławskiego na Wołyniu, przeznaczył różne summy na cele dobroczynne, pomiędzy innemi zapisał 13,000 złp. dla Towarzystwa Dobroczynności w Warszawie, jako stały fundusz, z którego procent ma być przeznaczony wiecznemi czasy na stypendjum dla ucznia z biednego stanu rodziców pochodzącego, lub sieroty w gimnazyum, albo innym naukowym zakładzie. (*G. P.)*

— Wystawa płodów rolniczych i wyrobów fabrycznych, naznaczoną została w Kijowie na dzień 27 Sierpnia r. b. urządzoną będzie na Padole, w gmachu tak zwanym kontraktowym.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90 kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15. Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 29 Czerwca 1862 r.